

17 str.
obl.

Leonard Miszkiel

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka...

Urodziłem się 20 maja 1929 roku w Powłoce gmina Raduń powiat Lida. Ojciec - Stanisław - był z roku 1900, a matka - Felicja - z 1907. Ojciec już nie żyje. Był u P. Ksudskiego ochotnikiem. Przeszedł cały szlak bojowy - był pod Kijowem i przeżył "cod nad Wisłą". Ojciec pochodził z Bjaszyszek, a matka z Wasyliszek. Rodzice pojawili się pod Lidą gdzieś w 1927 roku, bo ojciec początkowo nie chciał brać ziemi, która przydzielano piłsudczykom za zasługi wojenne. Pracował początkowo w fabryce kredy, a potem jako konduktor na kolei. Ale kiedy się zakochał i chciał się żenić, to przyszły teść powiedział, że konduktor nie jest odpowiednią partią dla jego córki. Dziadek miał sporo ziemi, kawałek lasu - gospodarzył. Wtedy mój ojciec się zdenerwował, poszedł do Urzędu Ziemskiego w Lidzie i wrócił do Wasyliszek z "Aktym nadania". To jest jedyny dokument, który się uchował w rodzinie po tych wszystkich przejściach, których doświadczyliśmy podczas wojny.

Działka, którą ojciec dostał, nie miała najlepszej gleby, bo najlepsze było już zabrane, ale za to było tego sporo - 24 i pół hektara. Zatem rodzice osiedlili się w osadzie Powłoka. Ojciec dostał coś z 8000 złotych pożyczki i zaczął się zagospodarowywać. I tak żyliśmy powolutku, dorabialiśmy^{SIB}. A jak się już trochę dorobiliśmy, to pojawili się bolszewicy.

10 lutego 1940 roku o północy w siarczysty mróz zabrali nas na sanie i powieźli do Mołodeczna. W Mołodecznie saładowali nas do pociągu i powieźli - przez Omsk, Nowosybirsk aż w "tupik" - do stacji Asino. Stamtąd jeszcze parę dni saniami w głąb Rosji. Zawieźli nas do baraków i tam osiedlili.

Baraki były zrobione z dużych bierwion, dwuczęściowe. Było ich może kilkanaście, a może dwadzieścia parę. W każdym baraku było po 30 rodzin, a rodziny z kresów były wielodzietne. Przydzielono nam prycze. Jeżeli rodzina miała więcej niż 5 osób, to miała prycze przez dwa słupki, a jeżeli do 5 osób - to od słupka do słupka.

Spać trzeba było na tych pryczach bez niczego - nie było słomy, ani nic. Jak ktoś coś ze sobą przywiózł, to miał. Jak ktoś zabrał koźdrę, to nakrywała się nią cała rodzina.

W baraku był jeden piec, taka kosa, to się ogrzewało. Drewna nie brakowało. Było dużo drewna, wody i komarów. Obóz nazywał się Charkowo Bor, rajon Asino, obłast' Nowosybirsk.

Leonard Miszkiewicz c.d.

Byliśmy tam długo. Kiedy Anders tworzył armię, to do nas ta informacja nie dotarła. Tam nie docierało. Tylko dwa razy w roku było zaopatrzenie. Zimą, jak pozamarzały rzeki, to przyjeżdżali kołchoźnicy do ściągania drewna do rzeki. Drewno ściągano się takimi lodowymi torami. To prawie nie do pojęcia, ile może udźwignąć taki koń po torze lodowym - prawie wagon drewna - trzeba mu tylko trochę pomóc. Tor był tak profilowany, żeby było z górki, nigdy po równym czy pod górkę. Stędy zatem kołchoźnicy przywozili jakie takie zaopatrzenie. Drugi raz przywożono co nieco latem barkasami. Dlatego głód był straszny. Dla pracującego dawali 450 gramów chleba. To był aresztą niby-chleb: czarno-brązowy. Ojciec kiedyś zasuszył taki kawałeczek tego chleba i kiedy wróciliśmy do Polski, kiedyś za stołem biesiadnym ojciec to pokazał i zapytał: "Co to jest"? Zgadywano: węgiel kamienny, węgiel brunatny, korzeń jakiś... Ale nikt nie wpadł na to, że to mógł być chleb. Ale i tego chleba osoba niepracująca dostawała 150 gram. Zimą dostawało się jeszcze po litrze zupy. Ale co to była za zupa... parę drobiuszek makaronu czy coś podobnego pływało. Niepracujący byli dzieci do 14 lat. Od 14 roku życia pędzono - pod karabinem - do pracy od świtu do zmroku.

Wkrótce wszyscy mieliśmy w kurzą ślepotę z niedożywienia. Kiedy wracało się z pracy, to ludzie szli gęsiego trzymając się za ręce. Szli za komendantem, który prowadził do baraków. Do latryny z baraków była zrobiona barierka - w jedną i w drugą stronę. Szło się wzdłuż barierki tam i z powrotem. Trzeba było pamiętać, kiedy, za którą przerwą skręcić do swojego baraku.

Na Syberii było bardzo dużo zwierzyny. Ale wszyscy od 14 lat od świtu do zmroku pracowali, a jak wracali, to byli ślepi, więc z tej zwierzyny nie można było skorzystać. Byliśmy więc skazani na przydziałową "pochłobkę". Bardzo starzy ludzie byli traktowani tak jak dzieci - mieli 150 gram chleba dziennie. Latem nie dostawaliśmy zupy, bo było pełno jagód i grzybów. Ale jak się je same jagody, to się dostaje szerwonki; organizm nie przyjmuje tych jagód, wszystko wydała niestrawione. To samo było z grzybami: grzyby bez maki, którą można by je przyprawić, to nie jest jedzenie. Ale zupy nie dawali i już.

Dzieci pomiędzy 14 a 16 rokiem życia pracowały przy paleniu gałęzi, a powyżej 16 lat - przy korowaniu drewna. Dlatego też mam w metryce o jeden rok mniej. Rodzice odmłodzili mnie o ten rok, żeby nie musiał szybciej iść do pracy. Wydawało nam się, że nie będziemy tam długo - bo: albo pomrzemy, albo nas

Leonard Miszkiewicz c.d.

wypuszczają. Ale tak łatwo nas nie wypuścili. Szansa pojawiła się dopiero wtedy, kiedy dotarła do nas wiadomość, że Wanda Wasilewska, że związek, że wolno nam na własną rękę opuścić Sybir. Na własną rękę!

To było na początku jesieni. Tam nie było żadnych dróg. Jedyną możliwością były rzeki...

Niezależnie jednak od wszystkiego najszczęśliwszy dzień w moim życiu przeżyłem właśnie tam, w lasach, na Syberii. Najszczęśliwszy, mimo że tyle osób zmarło z głodu. Podliczyliśmy kiedyś, że zmarły wszystkie niemowlęta. Dla nich nie było nic - ani kaszki, ani mleka, ani żadnego tłuszczu. A mój najmłodszy brat miał 2 lata, kiedy tam dojechaliśmy. I o dziwo, żyje! I jest zdrowy! Do średni brat jest tak samo ślepy - jak ja.

Najszczęśliwszy dzień. To było tak: wszyscy mieliśmy takie kartki na chleb, szaro-niebieskie; było na nich 31 kratek. Kartki te przypominały okładki z teczek. Sprzedawczynie przy wydzielaniu chleba robiła w tym kartoniku gwoździem dziurę. Oszustwo było wykluczone. A o ten chleb, o każdą okruszynę ludzie się prawie zabijali. Przy odbieraniu chleba stało się przy wadze i tak się w nią wpatrywało, żeby ani drgnęła, żeby dostać to, co było na kartce.

Pewnego razu sprzedawczynie zachorowała. Akurat w tym momencie, kiedy kołchoźnicy przyjechali i dostarczyli zaopatrzenie. Ona nie mogła sprzedawać chleba i kazano jakiemuś kołchoźnikowi zastąpić chorą. Ja wtedy byłem już chłopakiem w miarę dorosłym i uczciwym. Rodzice mieli do mnie zaufanie i pozwalali mi wykupywać chleb i pilnować go do przyścia rodziców. Chleb leżał w takiej specjalnej zbitej z desek skrzyni. Skrzynia była zamykana na kłódkę. Tego zatem dnia idę ja po chleb, a ten kołchoźnik nie przebija kartek gwoździem, tylko robi na nich takiego ptaszka ołówkiem. Taki ptaszek, haczyk! Od razu zaswitał mi pomysł - wywabić to i stanąć jeszcze raz do kolejki. Ze sklepu do baraku było z górki, więc pobiegłem. Ale czym wywabić? Gumki przecież nie ma. Ale w baraku były jakieś przedwojenne buty na podszwie-słonie. Uciąłem kawałek tej podszwy, wywabiłem ptaszka i przyniosłem chleb po raz drugi. Średniego brata posadziłem na skrzyni z chlebem, dałem mu do ręki duży nóż i powiedziałem, żeby dągał nim każdego, kto chciałby ruszyć nasz chleb, bez ogródek.

Obróciłem tak do sklepiku cztery razy. Byłem w takiej euforii, że nawet nie czułem, czy ja biegnę, czy ja fruwnę, czy ja w ogóle istnieję fizycznie. Nie wiedziałem, nie czułem, co

Leonard Miszkiewicz c.d.

się ze mną dzieje. Może by mi się udało i piąty raz i szósty... Ale byłem strasznie spocony. Byłem przecież tak wycieńczony, że były na mnie tylko skóra i kości. Kiedy czasami szedłem do lasu, a na drodze leżało powalone drzewo czy grubsza gałąź, to musiałem nogą przez tę przeszkodę przełożyć jak inwalida - najpierw powoli jedną, potem drugą. Nóg się nawet nie przekładało, a podciągało. A tu zrobiłem cztery rejsy od baraku do sklepu... Byłem słaby, spocony. Mimo to podałem te kartki jeszcze raz - a miejsce po haczyku już przeswitywało, bo papier był lichey. Sprzedawca-kołchoźnik zrobił kolejnego ptaszka, odważył chleb, a potem kartkę odłożył na bok i popatrzył na mnie. Popatrzył, slustrował i mówi: "Ty wor! Ukrał chleb!" A ja lewą ręką za ten chleb, prawą za kartki i chodu.

Kiedy byłem już bezpieczny, powiedziałem sobie: cztery pajki chleba są w skrzyni, piąty... A człowiek marzył, żeby kiedyś w życiu najść się chleba do syta. Posypać kromkę solą, skropić wodą i najść się do syta. Żeby mama nie wydzielala. Myślę sobie: "Jem trochę tej piątej porcji", - i zanim doszedłem do baraku, zjadłem cały pajok, trzy razy po 450 gram.

Przychodzi mama do baraku, ja otwieram kufer i pokazuję. A mama się przelękała: "Matko Boska! ukradłeś czy zabiłeś kogo!" Bo i do tego dochodziło. Matki dzieliły i dzieliły ten chleb na drobne, najdrobniejsze kawałeczki.

Był taki przypadek w baraku: mieszkała obok nas rodzina Pisarewiczów i pewnego razu młodszy dzieciak chwycił starszemu bratu chleb. Ten starszy złapał nóż i z tym nożem, z pianą na ustach po przyczach za bratem. Gdyby go ludzie nie obezwładnili, a on dopadłby brata, to go na pewno byłby zadągał. Bo ludzie mieli z głodu bardzo osłabione poczucie odpowiedzialności, więzi, samokontroli. Jeść, tylko jeść. Chodziło się, szukało się czegoś do zjedzenia. Kora brzoźowa - czy da się zjeść? Jakiś groszek - a on potem okazał się wymiotny. Jakas trawka - ale tam niewiele rosło. Ktoś kiedyś usiłował posadzić ziemniaki - ale nic z tego nie wyszło.

Ale wróćmy do chleba. Mama się rozpłakała, ale mylilibyśmy się sądząc, że dała komuś z nas zaraz większą kromkę. To właśnie z tego chleba ojciec zasuszył ten pamiątkowy kawałeczek. A mama dzieliła wszystko sprawiedliwie, zapas pozostawiając na jakąś czarną godzinę. A wtedy i mi dała moją przydziałową kromkę, tak jak każdemu. Miałem wyrzuty sumienia biorąc tę kromkę, ale bałem się zdradzić. Poważnie się obawiałem, że mnie zakatrupią, jeśli

Leonard Myszkiel c.d.

powiem, ile ja już zjadłem.

Dopiero na Święta Wielkanocne 1945 roku, kiedy już wróciliśmy do Polski, przyznałem się rodzicom, że wtedy zjadłem cały pajok chleba. I właśnie wtedy przeżyłem najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Nigdy potem nie czułem się taki syty i szczęśliwy.

Do Polski przyjechaliśmy w Niedzielę Palmową 1945 roku. Ale droga była daleka. Kiedy w lesie na Syberii pozwolono nam na własną rękę opuścić tajgę, zaczęliśmy się zastanawiać, jak to zrobić. Do rzeki Ju mieliśmy 7 kilometrów. Mój ojciec, pan Kudzia i Luśkiewicz pojechali nad rzekę, zbili tratwę i na tej tratwie popłynęliśmy w dół rzeki. Nasze trzy rodziny. Zaczęliśmy spływać, kiedy już zaczynały się przymrozki. A tam, jak się zaczynają przymrozki, to w trzy dni lód może skuć największą rzekę. Rzekę Ju przepłynęliśmy do rzeki Czuzym. Czuzym jest szeroki. Płynęliśmy jeden dzień Czuzymem. Nazajutrz budzimy się i widzimy, że żegluga dalszej już nie będzie - rzeka już jest pod lodem. Zatrzymaliśmy się w obozie, gdzie były nie tylko baraki, ale prawdziwe donki. To było Wierszynino.

Wierszynino otrzymało swoją nazwę od nazwiska jakiegoś bardzo ludzkiego komendanta obozu. W obozie był swego czasu jakiś inżynier budowlany, specjalista od robót drzewnych, więc pobudowano ładne drewniane domki, z fantazją, każdy na 3-4 rodziny. To też był obóz dla Polaków.

W Wierszyninie zaczęliśmy się czekać aż spadnie pierwszy śnieg. Spadł śnieg, załadowaliśmy się na jakieś skłeczone sanie i poszliśmy do Asina. Nie mieliśmy żadnych produktów. Po drodze sprzedawaliśmy jeszcze to, co nam pozostało. Uchowały się buty oficerskie ojca, trzeba było tylko odciąć ostrogi. Za mój garnitur od bierznowania dostaliśmy w jakiejś wiosce dwa wiadra ziemniaków. Ziemniaki były zmarznięte, ale i tak były pożywne.

Dojechaliśmy do Asina. W Asinie to nawet stróż do nas strzelał, bo znaleźliśmy taki barak, gdzie przechowywano spleśniałą makuchę. I my, chłopaki, chodziliśmy kraść tę makuchę. Barak był duży i stróż chodził wkoło tego baraku. Strzelał właściwie na postrach. Naciągaliśmy tej makuchy sporo i to już było coś. Tłukło się to w stупie z pozostałymi ziemniakami i robiło się z tego placki. To już była wielka radość, bo plackami można było prawie się najęść. Ale tam się znów skończyła nasza swoboda, bo ponownie skierowano nas do baraków, a potem do lesochimu. Tu już robota była gorsza, bo trzeba było zbierać żywicę. I na tej robocie

Leonard Miszkiewicz c.d.

zastała nas wiosna. A z wiosną przebudziły się chyba miliardy żmij. Rodzice wychodząc do pracy zabijali deskami okna i drzwi, żebyśmy nie wychodzili z baraku. Ale przez szparę w podłodze było widać, że żmije kłębiły się pod domem całymi kłębami. Wyrzewały się na słońcu. A upały były potworne, temperatura dochodziła do 40 stopni. Rodzice w pracy mieli zabezpieczone ręce, związane specjalnymi rękawicami.

W Asinie było bardzo źle - bo raz chleb dali, a raz nie. A to była potworna rzecz. Uciekliśmy zatem stamtąd paręnaście kilometrów dalej, do kołchozu. Tam ojciec najał się za pastucha. Przedsiębiorca kołchozu był starym porządnym człowiekiem. Powiedział on, że jego kołchoz jest tak biedny, że umrzemy z głodu, bo on nie ma nas czym odkarmić. A byliśmy jak trupiszony. Dał nam bochenek chleba /chleb był taki, że sypał się po przekłamaniu/ i doradził przekupić kolejarza i pojechać do bogatszego kołchozu w Ałtajsku. Ojciec z sąsiadem Burakiem pojechali do Ałtajska, stamtąd przywieźli po dwa bochenki chleba /też z prosa, ale już lepsze/. Więc znów przekupiliśmy kolejarza, żeby zatrzymał pociąg w lesie na chwilę. Cały nasz dobytek mieścił się w jednym przescieradle, z załadowaniem nie było kłopotu. Ale dojeżdżając do nowego kołchozu pociąg nie mógł się zatrzymać, tylko trochę zwolnił. Rodzice powyrzucali nas z wagonu i wyskoczyli sami.

Nie mieliśmy żadnych dokumentów, ale już nad nami nie było wartowników. Wartownicy nie byli zresztą potrzebni, bo stamtąd nie było jak uciec. Podobno jeden marynarz uciekał 3 razy, ale jego ucieczka kończyła się na Nowosybarsku. Ucieczka koleją była niemożliwa, bo na każdej stacji stał kołowrót - i na nim sprawdzali dokumenty. Jak nie było komandirówki - to od razu na drugą stronę. "Na stronie" witał pasażera NKWDzista, przeszukiwał i odsyłał tam, skąd pasażer przybył. Jak była natomiast komandirówka, to można było wyjść na miasto. Inaczej ze stacji kolejowej się nie wyszło, bo stacja była obstawiona NKWDzistami.

W tym nowym kołchozie dali nam taką izbuszkę, gdzie był magazyn cebuli i suszyła się końska uprzęż. W jednym kącie zrobili prycze Buraki, a w drugim my. I tam w tym kołchozie przebyliśmy już do końca. Tam zaczęłam chodzić do szkoły, tam zaczęło się normalne życie. Kołchoz nie był bogaty, ale w porównaniu z tym poprzednim... porównania nie było. Wydawało mi się, że przedsiębiorca jest jakimś dziwnym wielkoludem z siwą brodą. Popatrzył na nas, pokiwał głową, kazał przynieść coś do jedzenia. Przysłał potem przez kogoś może ze 4 miski maki. Dostaliśmy po 2 bochenki

Leonard Miszkiel c.d.

chleba i po wiadrze ziemniaków. A tu już wiosna była na dworze, bo akurat sadziło się ziemniaki. Rwaliśmy się strasznie do pracy w polu, bo tam można było coś ukraść. A przedsiębiorca nie chciał nas puścić, bo wyglądaliśmy strasznie. Przedsiębiorca mówił do mojego ojca "starik", a ojciec miał czterdzieści parę lat. Potem, kiedy my nabraliśmy ciała, to widac było, że to przedsiębiorca jest takim zasuszonym staruszkim. A na początku to myśmy byli skóra i koście.

W końcu jednak przedsiębiorca puścił nas na pole. Mama przyszykowała takie kieszenie, do których można było coś schować. Pamięta^m robiłem coś przy pszenicy i najadłem się tak, że omal nie umarłem, bo pszenica spęczniała w żołądku. W tym kółchozie było już znacznie lepiej niż poprzednio. Przez te wszystkie lata nie widzieliśmy mleka, mięsa czy kawałeczka masła. Przy udoju krów w kółchozie stała baba-politruk: przy niej mleko się cedziło i odwoziło do mleczarni. Ale mimo to parę razy udało mi się tego mleka napić. Z kółchozu szło wszystko "dla frontu". Magazyny kółchozowe stały puste, bo wszystko od razu się odwoziło, a ziarno na siew kółchoz dostawał później.

Stamtąd ojciec poszedł na ochotnika do Kościuszkowców. Nie brali go, ale on chodził i wykłócał się. Przeszedł zatem szlak od Lenina do Berlina i ze swoją kompanią po wojnie osiedlił się koło Lubska w Górzynie. To była bardzo ładna wieś.

Ojciec poszedł, a my zostaliśmy w kółchozie. Przez te parę lat pracy nigdy nie dostaliśmy żadnego zboża ani nic innego. A normę wypełnialiśmy. Ja byłem uczniotoczkiem i przekraczałem swoją normę, a mama była nawet stachanowcem. Czasem tylko, żeby zachęcić ludzi do pracy w czasie żniw, dawano po 150 gramów maki na trudodzień. Dostawali^{si} fufajki, piny /takie wojski/, robocze ubrania - i to się przeliczało na zboże. I kiedy wolno nam już było wyjechać do Polski, trzeba^{było} na miesiąc przed wyjazdem rozliczyć się z kółchozem. Dzięki UNRRA dostaliśmy żywność na podróż. Gdyby nie to, to nigdy stamtąd byśmy nie wyjechali.

Zaczęliśmy starania o wyjazd. Poniósłem podanie /zajawkę/ do kółchozu i dowiedziałem się, że jesteśmy winni kółchozowi 308 kg zboża. Przewodniczący powiedział, że nie ma mowy o żadnym wyjeździe. Kobiety - nasza mama, Burakowa i Kudziowa - pojechały do Barnauka. Wracają z Barnauka, płaczą, rozpaczają. Mówią, że nie ma mowy o wyjeździe, bo nie tylko nie dadzą nam żywności, ale nie dostaniemy żadnych dokumentów. Wtedy ja z naszego kółchozu "Straszny wodnik" pojechałem do komendanta NKWD w Ałtajsku-

Leonard Miszkiel c.d.

Czesnokowkie. Zameldowałem się, czekałem, wreszcie wszedłem do gabinetu. Wszędzie skóra, boazerie skórzane, a on siedzi jak Bóg. Opowiedziałem mu, że mama zawsze była stachanówką, że była zawsze w krasnym ugołkie i t.d. Komendant napisał zapiskę: "Niemiedlenno rassczitat' siemju... - i tu były wyliczone polskie nazwiska". Przeszedłem z tą zapiską do przewodniczącego kołchozu, a przedtem jeszcze napisałem podanie na kredowym papierze. Papier przysłał ojciec, bo tam papieru w ogóle nie było, pisało się na kawałeczkach gazet, a w szkole - na starych książkach. Dostawialiśmy stare książki do historii, na pierwszych lekcjach nauczycielki dyktowały, co mamy zamalować. Zamalowywaliśmy fragmenty tekstu albo portrety. Później te książki służyły nam jako zeszyty - pisało się między linijkami. Jedyne prawdziwe zeszyty były do klasówek i one były przechowywane w szkole. A zaświadczenie o tym, że byłem w VII klasie w Czesnokowce, dostałem na skrawku gazety - szkoła nie miała papieru nawet na świadectwo. Nie mam już tego dokumentu.

W tej miejscowości byli jeszcze poza nami Polacy, gdzieś na osiedlu. Do pracy do fabryki chodził taki Fredek /nazywali go Fiedia/. To był silny chłopak, a ponieważ nienawidził ruskich tak jak i my wszyscy, więc jak mu któryś nadepnął na odcisk, to Fredek lał. Nazywali go "krwawy Fiedia".

To zaświadczenie i podanie na kredowym papierze odniosły skutek. Kiedy w Czesnokowce podstawiono nam trzy wagony, to te wagony zostały całe załadowane Polakami. Czekaliśmy na torach jeszcze parę dni. W końcu ruszyliśmy - 17 marca 1946 roku. W wagonie była absolutna cisza, a potem straszny szloch - z radości.

Przyjechaliśmy do Opolu. W Opolu każdy mógł na coś się decydować, mógł wyjeżdżać, mógł iść do PURu. A my mieliśmy adres ojca, więc pojechaliśmy przez Wrocław do Lubska. Nasza rodzina wróciła cała, to jest nieprawdopodobne, ale prawdziwe. To rzadko komu się udało. I to wszystko dzięki mamie, która tak wszystkiego pilnowała i tak się starała. Najgorsze było to, że były takie niskie racje żywności. Ojciec nasz pracował bardzo ciężko, tak jak wszyscy mężczyźni. W niektórych rodzinach bywało tak, że ojciec brał swój przydział i nie dzielił się z rodziną. Jak tylko następowało takie rozbitcie, to rodzina ginęła - marły najpierw dzieci, potem matka, a potem i on sam ginął. A u nas nie doszło do tego.

Przyjechaliśmy do Lubska. Zapakowałem rodzinę do PURu, bo tam dawali jakieś posiłki, a ja sam wyruszyłem [redacted] do Górzyna, parę kilometrów od Lubska. To było 14 kwietnia, w Niedzie-

Leonard Miszkiewicz c.d.

lę Palmowa. Idę, a tu zza górki wyłania się mój ojciec - z palną w rękę. Idzie środkiem ulicy, bo nikogo dookoła nie ma. Było tak ciepło, że szedł w garniturze, na letniaka. No to ja idę prosto na niego. On chce mnie wyminąć: on w lewo - ja w lewo, on w prawo - ja w prawo. To on stanął i mówi: "Co pan ode mnie chce?" ...

Przyjechaliśmy do ojca do Górzyna /powiat Krosno Odrzańskie/, tam ojciec miał polską gospodarkę, bardzo dużą, tylko powoli ją zmniejszał, bo znów można było zostać kułakiem. Pozostawił sobie coś około 7 ha, a zabudowania miał nadal duże.

Kiedy myśmy przyjechali do ojca, to już nie było rodzin niemieckich. Zostały Niemki, młode i żadne^{ne} dziewczyny. Jedną z nich - Marianna - nie chciała w ogóle wyjeżdżać do Niemiec. Dziewczyny te początkowo zostały dobrowolnie, bo wiesz zajęli sami mężczyźni i one pomagały przy gospodarstwach, dopóki nie przyjechały rodziny do mężczyzn. Jak myśmy przyjechali, to taka dziewczyna od nas od razu sobie wyjechała.

Zaczęliśmy na tej gospodarce żyć. Ja w 1948 roku przyjechałem do Wrocławia, tu uczyłem się i tu pozostałem. A ojciec gospodarował. Wiodło nam się całkiem przyzwoicie, znacznie lepiej niż przed wojną.

Rosjanie na tych terenach strasznie szabrowali. Znam to z opowiadania, że raz onal nie doszło do walki: na wiesz szedł jakiś oddział rosyjski, ale bractwo ze wsi dowiedziało się o tym. Mężczyźni ustawili na rogatkach karabiny maszynowe, bo mieli broń, i Rosjanie się wycofali. Z Rosjanami było dużo komplikacji. Kiedy chodziłem do gimnazjum, to mój znajomy Henryk Kacznarek wyszedł z narzeczoną na spacer w kierunku Gubina. Z lasu wyszedł Rosjanin z karabinem, zagroził chłopcu i na jego oczach zgwałcił mu dziewczynę /Nielę/, a jemu zabrał zegarek. Takich wypadków^y było dużo.

Z Lubka Rosjanie wywozili wszystkie maszyny, nieraz te maszyny ciągli. Zresztą będąc jeszcze w Czesnokowce, a znajdowała się ona koło kolei transsyberyjskiej, widziałem, jak wieźli na łorach obrabiarki na wół przecięte. One były bezużyteczne, wykorzystywano je może tylko po to, żeby ściągnąć konstrukcję. I tak w Lubsku też wszystko zostało wyszabrowane. Jak się jechało do Krosna, to koło Bobrowic była elektrownia na rzece Bober. Ona była przez dłuższy czas nieczynna, bo wszystkie generatory były pozabierane. A wszystkie pomieszczenia były dobre. Po paru latach dowiedziałem się, że Bobrowice mają ruszyć, bo Rosjanie dają nam generatory. Oni musieli mieć dobrze ponotowane, co skąd zabierają, bo do Bobrowic wróciły te same polskie generato-

Leonard Miszkiel c.d.

ry, nawet nie trzeba było robić nowych fundamentów, nawet stare śruby pasowały. Te generatory chodzą chyba do dziś dnia. Tak to było z Rosjanami.

Mój ojciec gospodarzył w tym Górzynie. Potem zachorował na chorobę Parkinsona. Sprzedał wówczas ziemię - 7,32 ha i te zabudowania, bardzo ładne. Za to wszystko dostał 30 000 zł. Wtedy już była ustawa, że rolnicy mogą otrzymać emeryturę w zamian za oddane gospodarstwo. Ale ona funkcjonowała w Polsce Centralnej. A na Zachodzie robiono wszystko, żeby gospodarz nie rzucić. Znalazł się więc na gospodarstwo ojca kupiec, który dorobił się w Chicago i wszystko kupił. Rodzice później przenieśli się do Konina, do mieszkania spółdzielczego. W 1978 roku ojciec zmarł, a mama - starańka, mieszka tam do dziś. Tam jest też mój brat. Brat jest tak samo ślepy, jak ja. Trzeci brat mieszka we Wschowie, jest geodeta, nie ma kłopotów ze wzrokiem, widzi dobrze.

Co by było, gdyby nie było wojny? Przed wojną osadnicy wojskowi mieli na kresach duże przywileje. Ojciec mój miał na przykład 8 000 pożyczki. Miał duże plany, bo ziemi był spory kawałek. Mieliśmy dwa stawy, wóz, dużo lasu. Wydzierżawialiśmy spore kawałki ziemi Litwinom, w zamian za wykarczowanie. Dzierżawcy ci już w 1939 roku schodzili z pola, ziemia wracała do nas. Teren był piękny, pełno grzybów, jagód. Hodowaliśmy owce, 4 krowy, konia. Ojciec przymierzał się do murowania domu, zwiózł budulec na stodołę. Już zaczynało się nienajgorsze życie. Pracowników sezonowych najmował. Była bardzo tania siła robocza. Jak ojciec poszedł na górkę w okresie żniw, złożył ręce w trąbkę i krzyknął: "Zniej!", to ciągnął cały kolorowy rząd zniej. W 2 dni było po żniwach, a sęło się sierpem. Dzień pracy kosztował 2 złote albo dużą miarkę maki. Na powietrzu dla pracowników stawiało się stoły, były dożynki, hulanki, śpiewy. Zniejami były Litwinki z sąsiednich wiosek.

W szkole uczyłem się z dziećmi litewskimi. One zostawały po lekcjach i uczyły się litewskiego.

Żydów u nas nie było. Byli w Lidzie.

Kiedys u nas w domu w składziku znalazłem dużą ilość broszur komunistycznych, rozpalaliśmy potem nimi w piecu. Broszury te przechwycił skądś ojciec. Widocznie przechwytywał przerzuty z Rosji. Ojciec musiał działać gdzieś w sposób zorganizowany. Mówił w domu, że idzie grać w zapalki. Przynosił do domu zapalki, ale dziwne, że nigdy nie przegrywał, więc widocznie matce

Leonard Miszkiewicz c.d.

też nic nie mówił. To były broszurki podburzające Litwinów /były po litewsku/, wydane na najlepszym kredowym papierze, bo nawet źle się paliły. A że elementy komunistyczne na kresach działały, to było pewne. Pamiętam taki obrazek z Lidy: siedzę na wozie i widzę, jak policja w granatowych mundurach pałuje kogoś pałami. A to była chyba rocznica Rewolucji Październikowej. Zapytałem ojca, co się dzieje. A on na to, że to komuniści swoje święto obchodzą.

W Lidzie bywałem od czasu do czasu. Pamiętam niektóre miejsca. Mielśmy jako osadnicy bezpłatnego lekarza wojskowego. Był nim pułkownik Pukiński, bardzo gruby, z czerwonym karkiem.

W 1939 roku miałem pójść do Lidy do [redacted] 5-ej klasy do szkoły z internatem. Internat był płatny symbolicznie. Mielśmy szansę kształcić się bezpłatnie jako dzieci osadnika wojskowego. Na to z zazdrością patrzyli inni, nie-osadnicy.

Osadnicy byli bardzo solidarni jako środowisko. Święta Wielkanocne obchodzili przez 1-2 tygodnie. Naszymi sąsiadami-osadnikami byli Mieluskiewiczowie /ich syn Michał był w moim wieku/ i Siniewscy. Byli wywiezieni razem z nami. Przetrwali. Siniewskich nawet spotykaliśmy już tutaj.

W szkole nauczyciel wyróżniał mnie jako syna osadnika. Zapraszał mnie na radio. Radio było wtedy rzadkością, ale nasi krewni w Wasiliszkach już też je mieli. My nie mieliśmy jeszcze radia, ale nasi sąsiedzi - tak. Nie było też rowerów, ale nawet nie odczuwało się tej potrzeby. Nikt z osadników nie miał roweru.

W szkole z kolegami Litwinami stosunki układały się dobrze. Na dużej przerwie biedniejsze dzieci dostawały po pądzie chleba i mleko. Często więc przynosiłem śniadanie i zamieniałem się z nimi. Bo wy jedzenia w domu mieliśmy w bród. Płody rolne sprzedawaliśmy w Lidzie na targu, kupowali Żydzi. Ceny były bardzo nędzne. Pamiętam^m że ojciec miał kupić kierat. Kierat kosztował 505 złotych, a to były bardzo duże pieniądze. Maszyn rolniczych jeszcze za wiele w gospodarstwach nie było. Ojciec planował też kupić młockarnię. Do młócenia też chętnie przychodzili ludzie ze wsi. Cepami młócili bardzo ładnie, po kłoskach, żeby słoma nadawała się na krycie zabudowań.

W szkole u nas nie było uczniów prawosławnych. Litwini modelili się też po polsku, lekcje religii były wspólne. W naszej szkole nie było żadnego harcerstwa ani nic takiego.

Osadnicy-piśsudczycy byli bardzo patriotyczni. Święta naro-

dowce obchodzili uroczystości. Wiem, że w 1926 roku, kiedy był prze-
wrót, to ojciec ni stąd ni zowąd wyjechał do Warszawy. Przywiózł
stamtąd tylko zdjęcia, jak mieszkał w Bristolu. A kiedy rozpo-
częła się wojna 1 września 1939 roku, to ojciec pojechał akurat
do Lidy załatwiać moje sprawy szkolne. Kiedy się dowiedział, że
jest wojna, to nie czekając na mobilizację, sam się zmobilizował.
Obudziwszy się rano na drugi dzień nie zastałem ojca w domu, a
dopiero w tydzień potem przyszło do niego wezwanie stawienia się.
I tak samo postąpili pozostali osadnicy.

Ojciec był w armii "Polesie". Kiedy rusyjscy zaatakowali 17
września, to żołnierze dostali rozkaz, że każdy ma uciekać na
własną rękę, gdzie chce. A oni wracali jakąś zwartą grupą, może
kompanią. Kiedy przechodzili przez ukraińską wieś, to do nich
strzelano, więc żołnierze na postrach podpálili wieś. Ale potem
zaatakowali ich Rosjanie z powietrza i mój ojciec był w pobliżu
wybuchu. Sąsiad, który wrócił do domu wcześniej, zawiadomił moją
matkę, że widział na własne oczy, jak mego ojca rozewało wy-
buchem. A ojciec po dwóch tygodniach wrócił - w cywilu, głuchy.

Między wrześniem 1939 roku a lutym 1940 /kiedy nas wywieźli/
Rosjan nie widziałem. Nie pojawiali się w naszej osadzie. Potem
jakiś rosyjski oficer powiedział mi, że Rosjanie wywozili według
informacji otrzymywanych od miejscowej ludności - Polaków, Litwi-
nów czy Białorusinów. A przecież nie pamiętam sprzed wojny jakichś
konfliktów z okolicznymi wsiami. Żyliśmy z nimi w zgodzie. Pamię-
tam dożynki, pamiętam, jak do nas przychodziły dziewczyny wieczo-
rami na przedzenie, bo u nas była lampa naftowa, a we wsi jesz-
cze łuczywo.

Przed wojną nie wiedziałem nic o Rosji ani o Rosjanach. Oj-
ciec mój na pewno wiedział, był świadomy. Ale ja nie miałem o
tym żadnego wyobrażenia. Ale o ruskich się mówiło, że to jest
dzicz azjatycka.

Mój ojciec był w Katyniu. W Armii Kościuszkowskiej był pluto-
nowym-sanitariuszem w saneczce. A miał porucznika Jefimczyka,
który był w tzw. informacji, chociaż wcale nie był komunistą.
Ten Jefimczyk mieszka teraz /jeśli jeszcze żyje/ w Jeleniej Górze.
I on z ojcem był przy tej komisji rosyjskiej, która była w Katy-
niu. Ojciec miał tam rolę sanitariusza. Kiedy oficjalna komisja
odeszła, to ojciec z Jefimczykiem trochę pogrzebali w tych grobach.
Znaleźli u jednego oficera małego kalendarzyk z notatkami, z
datami. I ten Jefimczyk ten kalendarzyk miał tutaj, na Ziemiach
Zachodnich, i nam go pokazywał. Jefimczyk pochodził gdzieś chyba

Leonard Miszkiewicz c.d.

spod baranowicz, mówił "po prostu". Ojciec z Jefimczykiem rozmawiali też z jakąś babką, która przypominała sobie rok egzekucji. Ojciec nas uswiadomił co do tej sprawy.

Historijka o Stasiu Pisarewiczu, tym, co z nożem gonił po baraku za bratem. Otóż ten Pisarewicz był tutaj za czasów stalinowskich porucznikiem UB! W Arosnie Odrzańskim. Zajeżdżał do nas. Ojciec mój też się go bał, stawiał mu wódkę. Jak można po przejściu tego wszystkiego na Syberii zostać kimś takim. Tak dziwnie się upodlić! Pisarewicz posadził między innymi człowieka, który u szewca zawinął buty w gazetę z portretem Stalina. Ojciec mój próbował pomóc temu arcystraszakowi. Ale ten Pisarewicz kazał ojcu podpisać, że nic nigdy nikomu o tym nie powie, że nic nie wie o tej sprawie. I ten gość z tej historii z gazetą siedział, wyszedł dopiero w 1956-ym roku!